

WSPOMNIENIA MŁODEGO ŁAGIERNIKA

Praca zgłoszona do OBEP w Rzeszowie na konkurs „Społeczeństwo polskie wobec okupacji niemieckiej i sowieckiej w latach 1939–1945. Postawy, życie codzienne”, zorganizowany przez BEP IPN. Relację Kazimierza Fliska zebrała i opracowała Ewa Golec, uczennica Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II ss. Prezentek w Rzeszowie przy udziale Tomasza Januszewskiego, Renaty Pomarańskiej i Jakuba Biedy.

Drogi Czytelniku,

cieszę się niezmiernie, że będziesz mógł poznać fragment z życia człowieka, który był dla mnie wzorem do naśladowania w wierze, sile ducha i mądrości, mojego Wujka Kazimierza Fliska. Przepętnione ono było strachem, zwątpieniem, bólem i łzami. Był on zesłany wraz ze swoją rodziną na Syberię w latach okupacji. W tym trudnym dla niego i jego rodziny okresie towarzyszyły mu również chwile radosne i pełne wzruszeń. W czasie zsyłki poznał swoją małżonkę, Elizę. Tam też przyszło na świat troje jego dzieci, czwarte zaś urodziło się już w Polsce.

Śp. Kazimierz jest już u Pana, gdzie spotkał swoją ukochaną żonę, która z pewnością grzeje mu nogi. Wujek miał zwyczaj mówić: „Kiedy umrę, moja kochana Eliza będzie grzała mi nogi w Niebie”.

Ewa Golec

Był rok 1939, wrzesień. Piękna, słoneczna pogoda! Mieszkaliśmy na stacji kolejowej Peronkówka, przed Lwowem. Ojciec pełnił tam funkcję naczelnika stacji, matka zajmowała się domem i dziećmi. Było nas czworo: siostry Ewa i Marysia, która przebywała u dziadków w Mielcu – i w ten sposób uniknęła zsyłki na Syberię – ja i mający się wkrótce urodzić braciszek.

Dojeżdżałem z siostrą do szkoły we Lwowie. Kiedy wybuchła wojna, ukończyłem pięć klas szkoły podstawowej. Byliśmy szczęśliwi na swój sposób, jak mogą być szczęśliwe dzieci przy swoich rodzicach.

Wojna

Przyszła wojna. Naloty, strach, ucieczki do lasów. W tych okolicznościach przyszedł na świat nasz najmłodszy brat, Jerzyk. Wkroczyły wojska rosyjskie. Zaczęły się kłopoty, problemy z zaopatrzeniem, ale to nic, byliśmy jeszcze razem. Tylko z rodzicami ojca i naszą siostrą Marysią byliśmy rozdzieleni granicą, bo tam stacjonują wojska niemieckie. We Lwowie mieszkali rodzice naszej matki i jej młodszy brat, Jerzy, który studiował na Uniwersytecie Lwowskim. Byliśmy nadal razem i w miarę bezpieczni. Nagle pewnego dnia ojciec został wezwany do NKWD. Nie wracał. Po jakimś czasie dostaliśmy od niego wiadomość, że ukrywa się przed aresztowaniem u przyjaciół we Lwowie.

Opuściliśmy nasz domek przy stacji i przeprowadziliśmy się do dziadków. Było ciężko, bez środków do życia, małe dziecko. Matka podjęła pracę w kuchni polowej, wujek Jerzy ze studenta przekształcił się w tragarza. Któregoś dnia nastąpiło spotkanie naszej matki z ojcem w kinie, podczas seansu filmowego. Ojciec poinformował nas o zamiarze przedo-

stania się przez granicę do swoich rodziców mieszkających w Mielcu, co wkrótce nastąpiło. Był poszukiwany, nas zaś przesłuchiowano i straszono. Któregoś dnia nie wrócił z pracy wujek Jerzy. Nie zobaczyliśmy go już nigdy więcej. Zginął we Lwowie, w więzieniu, gdzie do celi wrzucono granat. Rozpoznano jego szczątki, strzępy odzieży i charakter pisma na kartkach, które miał przy sobie, o czym po wojnie poinformowali nas znajomi. Po aresztowaniu wujka i ucieczce ojca pozostaliśmy z mamą nadal u dziadków we Lwowie. Żyło się coraz ciężiej z tego, co zarabiała mama. Z usług dziadka, profesora języka polskiego, nikt nie chciał korzystać. Jedynie piękna gra na cytrze naszej babci przynosiła czasem parę groszy.

Wywózka

Tak żyliśmy do 1940 r., kiedy na wiosnę tegoż roku, nad ranem przyszedli do nas Rosjanie. Kazali nam się „załadować” na furę, która należała do ukraińskiego chłopa. Nie wiedzieliśmy, co mamy brać ze sobą, gdyż pozamykali szafy. Obudził mnie żołnierz, stojący nade mną z karabinem. W ich mniemaniu byłem dorosłym mężczyzną, a ja miałem wtedy zaledwie czternaście lat. Pewien sierżant, który najprawdopodobniej był Polakiem albo Żydem, bo bardzo dobrze mówił po polsku, kazał mi się ubrać. Ja mu odpowiedziałem, że nie mam w co się ubrać, dopiero wtedy otworzył szafę. Włożyłem na siebie mundur ojca i jego palto. Starłem się włożyć na siebie jak najwięcej rzeczy. Po mieszkaniu chodził jeden żołnierz, który mówił: „Nie bierz takich rzeczy, będziecie mieli piękne mieszkanie, zabierz tylko jakieś firanki, żeby je sobie jakoś umeblować”. Lecz jeden z nich, wyższy rangą, kazał mu się zamknąć i mówił: „Wiesz, chłopcze, gdzie jedziesz? To zabierz jak najwięcej ciepłych rzeczy”. Kiedy siedzieliśmy w tej furmance, mama trzymała na kolanach przestraszonego i zapłakanego Jerzyka, Ewunia przytuliła się do babci, która przeklinała Rosjan. Babcia była osobą, która niczego się nie bała. Natomiast dziadek siedział w zadumie i milczeniu. W czasie I wojny światowej był postrzelony w głowę, cierpiał ponadto na kurzą ślepotę. Właściciel furmanki dowiózł nas do końca drogi i oznajmił, że dalej nie jedzie. Kolejno mieli zawieźć nas samochodem. Wysadzili nas z tej furmanki na drogę. Niedaleko były kanały, które ciągnęły się na drugi koniec Lwowa. Lubilem się tam bawić. Miałem możliwość ucieczki, lecz ważniejsza była dla mnie rodzina. Podjechała po nas ciężarówka, która zawiozła nas na Dworzec Główny. Tam załadowali nas do wagonu. Był on wypełniony po brzegi ludźmi. Małe okna po obu stronach wagonu były zakratowane. Na środku, przy ścianie znajdowała się dziura kloaczna, a we wnękach półki z desek, na których siedzieli ludzie, niemieszczący się na dole. Nasz wagon był czterdziesty trzeci albo piąty. Były tam dwie dziewczyny. Jedna z nich to narzeczona zabitego wujka Jerzego. Kiedy dowiedziały się rano, że nas wywieziono z domu, przybiegły jak najszybciej na stację. Wzięły ze sobą dwie duże bańki z mlekiem, które chciały nam podać, ale nie wiedziały, jak to zrobić, bo wszędzie chodzili rosyjscy żołnierze. Narzeczona wujka zaczęła z jednym rozmawiać i przekonywać, żeby mogła podać mleko. On się rozglądnął, czy nikogo nie ma, i pozwolił jej przejść.

Drzwi zatrzasknęły się z hukiem i pociąg ruszył. Droga była długa i męcząca. W naszym wagonie jechały jeszcze dwie rodziny ukraińskie i dwie rodziny polskie. W pomieszczeniu był zaduch i fetor ludzkiego potu i brudu niemytego ciała oraz odchodów, które nierzadko zamiast do małej dziury w podłodze trafiały poza nią. Przez cztery dni nie dostawaliśmy nic do jedzenia, mogliśmy przeżyć tylko dzięki temu, co sami wzięliśmy ze sobą. Dopiero za Moskwą, niedaleko Uralu po raz pierwszy otworzyli drzwi i dali nam pół wiadra kaszy i pachłopkę z pęcakiem (rodzaj zupy). Przynajmniej było coś, czym mogliśmy wypełnić żołądki. Od tej pory co dzień lub co drugi otwierali wagon i dawali nam jedzenie. W czasie podróży patrząc przez okno, zastanawiałem się, co nas czeka, i żał ścisnął serce, że za nami zostaje ojczyzna. Były dni, kiedy pociąg się zatrzymywał i można było pójść naczepać wody, ale takie chwile zdarzały się bardzo rzadko. Tak dojechaliśmy do Nowosybirsk, tam zaprowadzono nas do łaźni i dezynfekcji. Kazano nam rozebrać się do naga, nie zwracano uwagi na płeć. Wszystkim kazano wejść do ogromnej bani (łaźnie rosyjskie, ogrzewane paleni-

skami). Jeszcze tego samego dnia ładowano nas na barki i rzeką Ob płynęliśmy na mokradła Zachodniej Syberii. Nasza barka nazywała się „Feliks Dzierżyński”. Wsadzano po kilka rodzin w małych osiedlach nad Obem. Nasze osiedle nazywało się Tinkielinka. Kiedy nas wysadzili, dostaliśmy dwa worki mąki i nic więcej. Początkowo słończono nas w jednej izbie. Tam od samego początku dokuczaly nam komary i tzw. *moszka*, malutkie muszki, które były istną plagą. W tej izbie była scena z kurtyną i tam przydzielono nam początkowe miejsce. Zaprzyjaźniłem się z ukraińskim chłopcem Stasiem. Był w moim wieku. Chodziliśmy razem na grzyby i jagody. Później naszej rodzinie przydzielono małą izbę i tam zaczęliśmy się powoli urządzać. Zdobywaliśmy jedzenie chodząc na grzyby, maliny i ryby.

Śmierć dziadka Kazimierza

Tymczasem dziadziowi był coraz słabszy. Zaczął chorować, nie jadł. Pamiętam dokładnie ostatnie dni jego życia. Prosił, że chce coś zjeść. Na wpół przytomny mówił: Kaziu, daj mi coś słodkiego. – A babcia: Et, stary, zachciało ci się słodkiego. – Ja odpowiedziałem: Babciu, to nie twój interes, to jest sprawa między mną a dziadkiem.

Nie wiedziałem, skąd mam wziąć to słodkie. Miałem takie kalosze, przywiezione jeszcze z Polski. Niedaleko był skup, gdzie mogłem je sprzedać i dostać to, co chciałem, oczywiście jak na tamte czasy. Poprosiłem sprzedawcę o polukrowane herbatniki. Przyniosłem je dziadziowi. Jego radość z otrzymanych ciastek była warta niejednych kaloszy. Niestety, nie mógł ich zjeść. Parę dni później dziadziowi umarł. Tak zakończył życie nasz dobry, kochany, mądry, tak niegdyś wesoly i dowcipny dziadziuś, Stanisław Lach. Kiedy chowaliśmy dziadzia, włożyłem te herbatniki do trumny. Pamiętam bardzo dokładnie pogrzeb. Dziadziowi był pochowany jeszcze przywoicie. Cmentarz był na wzniesieniu, tam Rosjanie wykopali mu mogiłę. Nad jego grobem przemawiał ukraiński profesor języka polskiego, z którym dziadziowi był zaprzyjaźniony. To, jak on mówił, do tej pory wspominam ze łzami. Najpierw zaczął po polsku, żebyśmy zrozumieli, potem zwrócił się do tych Rosjan. Mówił: „Tu leży pierwszy Polak, zapamiętajcie to sobie. On jest tu pochowany”.

Czternastoletnia głowa rodziny

Życie toczyło się dalej. W wieku czternastu lat zostałem głową rodziny. Musiałem zadbać o jedzenie, zebrać chrust na opał. Podczas pierwszej zimy, którą tam przeżyłem, temperatura dochodziła do siedemdziesięciu stopni. Potem mróz zelżał i przy temperaturze pięćdziesięciu stopni szło się do pracy. Przyszedł rok 1941. Układ między Stalinem a Sikorskim. Wtedy pozwolono nam wyjechać z tej wioski. Zaprzyjaźniony Rosjanin namawiał nas, żebyśmy zostali do czasu, aż wszystko się ułoży, lecz mama chciała jechać, bo żyła nadzieją, że idzie ku lepszemu.

Nadzieja! ...ale jak złudna. Większe miasto, więcej ludzi, mniej jedzenia. Głód. Kargasok oddalony był o 40 kilometrów. Jechaliśmy saniami po rzece skutej lodem. Po przyjeździe chciałem się zatrudnić w przetwórni ryb. Umożliwił mi to jeden rybak, z którym zaprzyjaźniłem się w czasie podróży do Kargasoku. Jednak kierownik tej przetwórni ze względu na mój młody wiek nie zgodził się, żebym w niej pracował, a praca była bardzo ciężka. Zacząłem więc od nowa szukać pracy. Zatrudniłem się jako woziwoda. Woziliśmy wodę do restauracji i jadalni dla dzieci Rosjan, którzy byli na froncie. Kierowniczką pozwalała mi od czasu do czasu wyskrobać ze ścianek garnka to, co się przypaliło. Nosilem te zdrapki małemu Jerzykowi.

Najbliżsi odchodzą na zawsze

Przyszedł rok 1943. Był to najgorszy rok, jaki pamiętam. Wtedy zmarły trzy najbliższe mi osoby w ciągu paru miesięcy. Pierwszy umarł Jerzyk. Był najstarszy. Nie miałem wtedy pracy i była bardzo ostra zima. Nie było jedzenia. Nie jedliśmy wtedy cztery dni, on był strasznie wychudzony. Nareszcie znalazłem pracę. Pewna kobieta poprosiła mnie, żebym posprzątał jej piwnicę. Za to dostałem wiadro przemrożonych ziemniaków. Przynajmniej

było już coś do zjedzenia. Kiedy przyniosłem je do domu, mama ugotowała potowę, a resztę zostawiła na inny dzień. Jerzyk zjadł parę ziemniaczków i zaczął płakać, że chce jeszcze. Mama ugotowała mu jeszcze dwa ziemniaki. On zaczął je jeść i w pewnej chwili złapał się za brzuszek i wyciągnął do mnie rączki. Wziąłem go na ręce i zmarł w moich objęciach. Mama mówiła, że bym go położył, jeżeli przestał płakać. Ja odpowiedziałem, że go jeszcze ponoszę, żeby się do końca uspokoił, a on już nie żył. Położyłem jego wychudzone ciałko z wydętym brzuszkiem na pryczy, nigdy nie zapomnę tego widoku. Zrobiliśmy z Ewunią trumienkę i zawieźliśmy go na saniach (była wtedy zima) na cmentarz oddalony o sześć czy siedem kilometrów. Kiedy przywieźliśmy go wieczorem, ziemia była skuta mrozem i nie mogłem wykopać grobu. Zakopałem go więc w śniegu i pomyślałem, że na drugi dzień przyjdę, kiedy mróz zelżeje, i wtedy go pochowam. Na drugi dzień nie mogłem, na trzeci nie mogłem i wtedy umarła babcia, Karolina Lach. Poszedłem do zarządcy prosić o pomoc, bo wiedziałem, że sam nie wykopię mogiły. On się nie zgodził. Udałem się więc do prokuratora. Był to młody mężczyzna. Kiedy wszedłem, nie wytrzymałem i rozpłakałem się. Zapytał: – Dlaczego płaczesz? – Braciszek mi umarł, babcia mi umarła i nikt nie chce mi pomóc ich pochować.

Dzięki jego wstawiennictwu na drugi dzień przyjechał chłop z saniami. Babcie pochowaliśmy zawiniętą w dywan. Na cmentarzu zacząłem szukać Jerzyka pochowanego w śniegu. Nie znalazłem, zapomniałem, gdzie on był zakopany. Do dziś dnia dręczy mnie sumienie, co się z nim stało. Czy go ktoś znalazł, czy dzikie zwierzęta zjadły. Mama jeszcze żyła, ale już ostatkiem sił. Była sama w pustej, dużej, zimnej izbie, bez środków do życia, sił i nadziei na przetrwanie. Nie miała już synka ani matki. Mogła odpocząć, mogła zasnąć, mogła odejść. Wiedziała, że my z siostrą jakoś sobie poradzimy. I tak się stało. Tak zakończyła życie nasza najdroższa, ukochana, biedna mama, Aleksandra Flisek, przeżywszy trzydzieści siedem lat. Komu zawiniła? Dlaczego musiała odejść, czyim była wrogiem?

Trzeba było mamę przygotować do pochówku, lecz znów nikt nie chciał nam pomóc. Musieliśmy to zrobić sami razem z siostrą. Poszedłem do przewodniczącego Miejskiej Rady, żeby mi dał człowieka, który by mi pomógł w pogrzebie. On poirytowanym głosem zapytał się: – Ilu was tam jeszcze będzie? – Ja odpowiedziałem: – Następny będę ja! – On, ujrawszy moje zdenerwowanie, powiedział: – Dobrze, jutro przyjdzie ktoś do was i wam pomoże.

Udało mi się zorganizować trumnę dla mamy. Poprosiłem znajomych stolarzy, żeby ją wykonali, i zapłaciłem im dwadzieścia rubli, bo tylko tyle miałem. Pochowaliśmy mamę obok babci. Mogiłę usypałem rękami, a chłop pomagał mi kilofem. Pamiętam, jak rosta brzoźka nad mogiłą mamy i babci. Ten mężczyzna powiedział, że bym zapamiętał to drzewo, bo tu są pochowani moi najbliżsi. Kiedy wróciłem do domu, płakałem jak mały chłopczyk. Wiedziałem, że zostaliśmy sami z moją siostrą na tym bezdrożu rosyjskim. Ewa w tym czasie pracowała u kobiety, która była zatrudniona w piekarni, i moja siostra opiekowała się jej dziećmi. Mnie niestety ta kobieta nie przygarnęła. Chodziłem bez celu po ulicach, chciałem znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym się przespać. Jedną noc spędziłem w bani. Zostałem tam tak długo, dopóki nie zaczęło się robić zimno. Nie wiedziałem, gdzie spędzę teraz kolejną noc. W polu stały kopki siana. Ułożyłem je odpowiednio i w ten sposób spędziłem następną noc. Kiedy kładłem się spać, w mojej głowie cały czas kłębiła się myśl, że mogę się już więcej nie obudzić, jednak to nie był jeszcze czas na mnie. Miałem swoje zadanie na ziemi. Obudziłem się bardzo zmarznięty, byłem tak sztywny, że trudno mi było się poruszać. Zacząłem się znowu zastanawiać, gdzie spędzę третią noc.

Kradzież z głodu i więzienie

Zdecydowałem się pójść do Ewuni, do jej pracodawczyni. Zaryzykowałem. Ukradłem jej dwie kartki na chleb. Za te kartki można było dostać sześćdziesiąt dekagramów pieczywa. Pomyślałem sobie, że ona i tak pracuje w piekarni, to z głodu nie umrze. Zmieniłem na nich tylko stempel, dzięki pieczętce, którą wykroiłem z twardego jajka. Na drugi dzień poszedłem z tymi kartkami do sklepu wybrać chleb. Popatrzyłem dookoła. Chodził tam tylko jeden mili-



Fot. ze zbiorów Wioletta Fliska

Kazimierz Flisek i jego koledzy z brygady remontowej

cyjant, ale ja nie zwracałem na niego uwagi. Podałem sprzedawczynie te kartki, ona je dokładnie sprawdziła i nic nie mówiąc, zważyła odpowiednią porcję chleba. Wtedy niepostrzeżenie nadszedł milicjant i zapytał się mnie: – Chłopcze, dla kogo ty ten chleb bierzesz? – Dla mamy i dla siebie. – Przecież ty nie masz mamy.

Kiedy się wszystko wydało, kazał mi iść ze sobą. W drodze pozwolił mi zjeść ten chleb, bo kiedy przyniosę go do więzienia, więźniowie mi wszystko zabiorą i zjedzą. Po pewnej chwili wpadł mi do głowy pewien pomysł. Kiedy milicjant nie wiedział, wyrzuciłem z kieszeni kartki i jak gdyby nigdy nic dalej jadłem ten chleb. Gdy doszliśmy do więzienia, śledczy kazał mi pokazać te kartki, a ja udawałem, że nie mam żadnych kartek i że nie wiem, o czym on mówi. Kazano mnie obszukać, lecz nic nie znaleziono. Milicjant, który mnie przyprowadził, był pełen podziwu dla mojego sprytu. Uznali, że moje wykroczenie nie jest tak duże, ale żebym nie myślał, że jestem bezkarny, przesiedzę u nich, bo i tak nie mam dokąd iść. Wcześniej jeszcze musiałem podpisać oświadczenie, że przynaję się do winy, i zaprowadzono mnie do celi. Było tam około dwustu więźniów. Kiedy wszedłem, rzucono mi ręcznik i kazano wytrzeć w niego nogi, bo gdybym tego nie zrobił, nie byłbym uważany za jednego z nich. Obok mnie miał łóżko przestępca (nazywałem go Więźniem), który odsiadywał karę za zabójstwo. Był tam również starszy mężczyzna, na którego wołano Dziadek. Miał dużo jedzenia, bo często przychodziła do niego rodzina. Chłopcy z celi namówili mnie, żebym zabrał mu worek z sucharami, kiedy go nie będzie. Tak też zrobiłem. Kiedy Dziadek przyszedł do celi i zobaczył, że worka nie ma, wpadł w furję. Chłopcy, którzy mnie do tego namówili, nie przyznawali się i wskazywali na mnie, że to wyłącznie moja wina. Wzięli mnie na korytarz i bili. Bili tak mocno, że po pewnym czasie nie wytrzymałem i zacząłem krzyczeć z bólu. Wtedy Więzień pomógł mi. W tym samym dniu przyszło wezwanie na rozprawę. Byłem sądzony razem z Więźniem. Na rozprawie sędzia zapytał mnie:

– Dlaczego to zrobisz? – Widziałem, jak umierała moja mama, babcia, dziadek i najfodszy braciszek, ja nie chcę umrzeć taką śmiercią.

Prokurator dawał mi trzy lata, natomiast sędzia zredukował do dwóch. Zaprzyjaźniłem się z Więźniem, obiecał mi, że będzie mnie bronił przed pozostałymi więźniami.

Nadeszła wiosna. Byłem głodny, więc przehandlowałem buty, które dostawaliśmy. Zostałem bosi. Mimo pory roku w niektórych miejscach zalegał jeszcze śnieg. Pewnego dnia wezwano nas na zbiórkę, na zewnątrz. Kiedy dowódca zobaczył, że nie mam butów, zapytał, co się z nimi stało. Po wytłumaczeniu mu okoliczności, mężczyzna rozkazał Dziadkowi, żeby dał mi swoje buty, bo miał dodatkową parę walonek (buty z filcu). Były one co najmniej o pięć numerów za duże dla mnie, ale przynajmniej miałem w czym chodzić. Pewnego dnia nadeszła decyzja o przeniesieniu więźniów. Przyjechał po nas statek. Dano nam 180 dekagramów chleba na drogę, która miała trwać trzy dni. Byłem bardzo głodny, przez jedną noc zjadłem więc przydzieloną dawkę pieczywa i okropnie rozboleł mnie brzuch, dostałem biegunki. Kiedy dojechaliliśmy, wyładowali nas ze statku i zaprowadzili do punktu, z którego rozsyłano więźniów do różnych łagrów. Nie mogłem iść – moje buty były za duże, byłem skatowany i zmęczony. Kazali więc mnie nieść innym więźniom. Wzięli mnie pod rękę, a ja ostatkiem sił powłóczyłem nogami. Po dłuższym czasie już nie miałem sił. Zrezygnowany mówiłem, żeby mnie zostawili, bo było mi wszystko jedno. Upadłem. Konwój przeszedł. Jeden z nich zobaczywszy mnie szturchnął nogą, by sprawdzić, czy żyję, ale ja nie miałem sił, żeby się poruszać. Przejeżdżała ciężarówka. Konwojenci złapali mnie za rękę i za nogi, wrzucili do niej, dodatkowo mnie raniąc. W ten sposób dowieziono mnie do tego punktu. Kiedy mnie wyciągnęli, nie miałem sił, żeby ustać, oparłem się więc o ścianę, a nie wolno mi było wejść pierwszemu. Przechodził jakiś mężczyzna, który rzucił mi kawałek chleba. Ludzie rzucali mi co mogli, nawet papierosy. Kiedy wprowadzili wszystkich, zaczęli ich liczyć, ale zapomnieli o mnie, że ja tam siedzę za bramą. Liczyli i liczyli, ale wciąż im się coś nie zgadzało, za każdym razem więc liczyli od nowa. Więźniowie wiedzieli o mnie, ale żaden z nich nie miał odwagi o tym powiedzieć. W końcu zmęczeni ciągłym siadaniem, wstawaniem i liczeniem od nowa powiedzieli, że siedzę za bramą. Lekarz, który tam przyjmował, kiedy mnie zobaczył, kazał od razu zabrać na nosze i zanieść do szpitala. Niosło mnie dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali między sobą: „Po co go ratować, od razu powinno się go zanieść do kostnicy, bo i tak trzeba będzie drugi raz nosić, ale jak kazali, to zaniesiemy”.

Człowiek, lekarka, Żydówka

Jedna z pielęgniarek umyła mnie i zawiozła na salę, gdzie stały piętrowe łóżka. Ja miałem miejsce na dole. Na drugi dzień przyszła lekarka. Była Żydówką. Zawdzięczam jej bardzo dużo. Wymieniła moje nazwisko. Wstałem i starałem się iść. Wszystko było dobrze, dopóki stały łóżka. Kiedy się skończyły, nie miałem się czego przytrzymać i upadłem, wtedy ona podbiegła i pomogła wrócić na miejsce. Zbadała mnie. Dostawałem podwójne porcje jedzenia. Nie mogłem zjeść wszystkiego i drugą częścią dzieliłem się ze współwięźniami. Gdy doszedłem do siebie, przyszedł dzień kolejnych przydziałów do łagrów. Owa lekarka radziła mi, żebym został. Miałem niecały rok do odsiadki, mógłbym u niej bezpiecznie doczekać do końca wojny. Więźniowie doradzali mi jednak, żebym jej nie słuchał.

Łagier

Postuchałem ich. Przywieźli nas do miejscowości, której nazwy nie pamiętam. Tam zbadał mnie lekarz, który stwierdził, że nadają się do pracy. Wtedy zacząłem żałować, że nie postuchałem tej lekarki. Moja praca polegała na smarowaniu smółą traw, którymi wożono walonki dla rosyjskich żołnierzy na froncie. Po pewnym czasie zacząłem się zastanawiać, jak z powrotem trafić do szpitala. Pewnego dnia postano nas do łaźni i dano nam kostkę mydła. Zjadłem to mydło i dostałem biegunki. Kiedy zbadał mnie lekarz, zalecił hospitalizację, gdyż obawiano się epidemii dyzenterii. W szpitalu dostałem odpowiednie lekarstwo i dolegliwości

szybko minęły. Pragnąłem zostać tam jak najdłużej. Zacząłem więc pomagać pielęgniarkom. Pewien lekarz, który okazał się Polakiem, pozwolił mi zostać w szpitalu, żeby wyręczać pielęgniarki w prostych czynnościach. W szpitalu znacznie przytyłem, bo pielęgniarki mi dogadzały. Pewnego dnia przyszedł do szpitala Prysmie, nigdy nie zapomnę tego nazwiska. Był komendantem całego obozu. Kiedy przebywaliśmy w pokoju z chorymi, wszedł tam i spojrzawszy na mnie, zapytał: – Co on taki pełny na twarzy? – Pielęgniarka odpowiedziała: – On jest spuchnięty na twarzy, tak spuchnięty. – Rozkazał mi iść do pracy i powiedział jeszcze na koniec: – Nasi żołnierze giną na froncie, a ty, taki spasiony, siedzisz tutaj beczynnienie. – Musieli mnie więc wypisać. Zacząłem pracować w baraku przy pakowaniu listów do samolotów. Poznałem tam pewną kobietę, która była kucharką. Byłem od niej o parę lat młodszy, ale ona pragnęła mnie poślubić. Zawsze mi dogadzała.

Koniec wojny i kulawa wolność

Przyszedł rok 1945. Koniec wojny. Zwołano nas na apel, podczas którego dowódca powiedział: „Idźcie, odpoczywajcie, na razie jest spokój”. Kiedy przyszliśmy do łagrów, wezwano mnie do komendanta. Idąc do niego, miałem nadzieję, że wypuści mnie na wolność, choć zostało mi jeszcze pół roku kary. Jednak nie. Niedaleko łagrów były ogrody, w których pracowali więźniowie z krótkimi wyrokami, ja również do nich się zaliczałem. Pracowałem w oddziale „małolatów”, gdyż miałem wtedy prawie osiemnaście lat. Dostawaliśmy lekkie prace, na przykład plewienie. Nareszcie nadszedł dzień mojego wyjścia na wolność! Kucharka, o której wcześniej wspominałem, opiekowała się mną jak własnym synem, przygotowała mi na podróż coś do jedzenia. Wychodziłem jeszcze z czterema innymi osobami. Zaczęliśmy biec co sił do obozu. Kiedy dobiegliśmy, jeden z dowódców zaprowadził nas na stację. Wysiedliśmy w miejscowości Czerpanow. Miałem przy sobie jeszcze

kawałek chleba, ale nie miałem gdzie się przespać. Postanowiłem więc pójść na milicję i powiedzieć: „Jeśli nie dacie mi nic do jedzenia, to pójde i ukradnę, a wtedy wsadzicie mnie do więzienia i będziecie musieli mnie karmić”. Kiedy zaczęli mnie wyganiać, zagroziłem im, że wybiję im szybę w komisariacie. Wtedy powiedział jeden z nich: – Nie rób tego, bo cię wsadzimy. – A mi przecież cały czas o to chodzi. – No dobrze, uspokój się.

Zadzwonili do działu kadr i podali mi adres, pod który mam się skierować. Był tam mężczyzna, który zorganizował mi niewielkie mieszkanie w Simcopolu i pracę. Mieszkańcy tej miejscowości bali się mnie, gdyż krążyła fama, że jeżeli ktoś jest z łagrów, to musi być złym człowiekiem. Z czasem jednak przekonali się, że nie jestem taki najgorszy. Moją pracą była rozwózka karmy dla świń.

Niedługo potem poznałem swoją żonę, Elizę. Życie zaczęło mi się powoli układać. Ożeniłem się. Kiedy miałem żonę, chciałem więcej zarabiać, żeby utrzymać rodzinę. Zgłosiłem się więc do pracy w kopalni węgla jako górnik.



Fot. ze zbiorów Witolda Fliska

Kazimierz Flisek

List z białym orłem

Nadszedł dzień otrzymania pierwszego listu, poinformowała mnie o tym moja żona, gdy wróciłem z pracy. Powiedziała, że nie jest on nasz. Kiedy to usłyszałem, serce zaczęło mi mocniej bić. Popatrzyłem na kopertę i zobaczyłem pieczętkę, biały orzełek. Tego, co przeżyłem wówczas, nie są w stanie wyrazić żadne słowa. Był to list od ojca napisany po rosyjsku i od siostry napisany po polsku. Korespondencję od taty przeczytałem bez problemu, natomiast list od Ewy sprawił mi dużo problemów, gdyż po dwudziestu pięciu latach nieobecności w ojczyźnie zapomniałem języka. Poprosili mnie, żebym starał się wrócić do Polski. Poszedłem więc na milicję złożyć potrzebne dokumenty. Porucznik, który mnie przyjmował, zaczął ze mną rozmawiać. – Co was tam ciągnie? Tu jest wasza ojczyzna, tu wychowaliście się, tu dostaliście pracę. – Wy jesteście Rosjaninem? – Tak. – Kochacie swoją ojczyznę? – No, tak. – Ja też kocham. U was poznałem, co to komunizm, pojedę do kraju, to będę go rozszerzać.

Cóż miałem powiedzieć? Każde kłamstwo było warte tego, żeby wrócić do kraju, domu, rodziny. Nie byłbym **Polakiem**, gdybym nie starał się wrócić, gdzie miejsce **Polaka**, czyli w **Polsce**. W kolejnych dniach kazano mi przyjść z żoną. Oboje byliśmy przesłuchiwani. Na koniec zawołał mnie porucznik i powiedział: – Ale wyszkoliliście swoją żonę. – Ależ ja jej nie wyszkoliłem. – Ona powiedziała, że gdzie igła, tam i nitka. Ona za wami wszędzie pojedzie, bardzo was kocha.

Powrót do kraju

Parę dni później dostałem dokumenty potrzebne do wyjazdu. Byłem bardzo wzruszony. Nadeszła chwila, której w najśmielszych snach się nie spodziewałem. Na stację przyszła mnie pożegnać brygada remontowa. Pracowałem z nią ostatnio, było tam czterdzieści osób. Specjalnie nie poszli wtedy do pracy, żeby mnie odprowadzić na stację, oczywiście po wcześniejszej zgodzie naczelnika. Wsiedliśmy do pociągu. Miałem już wtedy trójkę dzieci: Witka, Włodka i Nadie (nadaliśmy jej to imię na znak nadziei powrotu do kraju). Pojechaliśmy do Nowosybirsk, gdzie mieliśmy od razu przesiadkę do Moskwy. Następnie do Mińska, skąd bezpośrednio dostaliśmy się do Polski. Jechaliśmy przez Olsztyn, gdzie mieliśmy wysiąść. Gdy dojechaliśmy nadchodziła noc, cicho, ciemno, nikogo nie było na ulicy. Pomyślałem: „Gdzie ja teraz pójde?”. Zapytałem kolejarza, który nieoczekiwanie przechodził, czy zna Fliska, bo wiedziałem, że ojciec był dyrektorem na kolei. On pokiwał głową, że nie rozumie. Wyszedłem przed dworzec, zauważyłem taksówkę. Pokazałem kierowcy adres ojca na kopercie, on powiedział, że to niedaleko i że bez problemu nas zawiezie, bo i tak teraz nie ma kursu.

Stałem pod tym domem i byłem w rozterce, bo nie wiedziałem, gdzie mam nacisnąć, aby zapaliło się światło, bo w Rosji tego nie było. Wiedziałem, że ojciec mieszka na trzecim piętrze. Idąc po omacku, liczyłem kolejne piętra. Po pewnej chwili znalazłem się na miejscu, zapukałem więc i usłyszałem głos ciotki: – Kto tam? – Zastanowiłem się, co mam powiedzieć, żeby mnie zrozumiała, i odpowiedziałem: – Kozik przyjechał! Zrozumiała, bo po pewnej chwili słyszę rumor. Okazało się, że ojciec w ogromnym szoku i radości włożył odwrotnie spodnie. Wreszcie otworzyły się drzwi. Tato ze łzami w oczach rzucił mi się na szyję. Wtedy dopiero poczułem, że naprawdę jestem w Polsce. Mówię ojcu przez łzy, że na dole stoi moja rodzina.

„Ruskie świnie”

Po powrocie do kraju nie spotkało mnie wiele dobrego od rodaków. Cierpiałem z powodu represji i braku akceptacji. Odczuwała to również moja żona i dzieci. Wołano na nas: „Ruskie świnie!”. Na początku patrzono na nas jak na wroga. W akcie rozpaczony pojechałem nawet do ambasady, bo chciałem wracać, tak mnie niektórzy zranili i skrzywdzili. Z czasem przyzwyczałem się, poznałem ludzi, którzy mi pomogli i zaakceptowali mnie i moją rodzinę. W Polsce przyszło na świat nasze czwarte dziecko, Olek.